

JACEK BALUCH

Kraków

Internowany 30 grudnia 1981 roku

Na wolność wyszedł 7 kwietnia 1982 roku

Przetrzymany w obozie dla internowanych w Rzeszowie (Załęże)

Przebój z celi czyli narodziny zielonej wrony

Można w to wierzyć lub nie, ale fakty są bezsporne: 4 lutego 1982 roku w więziennej celi dwóch dorosłych mężczyzn urodziło się zieloną wronę.

Piosenek było wiele: o „pancrach, które szły na Wujek”, o „murach, które kiedyś runą”, o „obławie na młode wilki” i „ludziach, którzy poczuli, że są wreszcie teraz u siebie”. Ale przebój stanu wojennego jest w zasadzie jeden.

Chociaż słowo „przebój” w kontekście stanu wojennego brzmieć może niezręcznie, zważywszy ówczesną rzeczywistość, była jednak pieśń, którą śpiewali wszyscy, i ci za kratami, i ci po drugiej stronie muru. Tylko sobie znanymi sposobami nagrywano ją w obozach internowania. Krążyła po całej Polsce mimo godziny milicyjnej, aresztowań i wyroków. Nie miało znaczenia, że kolejne kopiowanie z kasety na kasetę szkodziło jakości nagrania, że w końcu nie można było zrozumieć wszystkich słów tekstu – była piosenka. I to wystarczyło.

Grudzień 1981

Władzę w Polsce przejęła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego. W skrócie WRON. Twór ten momentalnie stał się obiektem drwin, kpin i niewybrednych rymowanek. Słowem, WRON-a łatwego życia nie miała, ale sama sobie na to zasłużyła. „Zielona WRONa” jest najpopularniejszą piosenką o tej dziwnej radzie. Gdyby jednak nie pewien rudy kelner oraz para czeskich turystów,

przypadkowo spotkanych na ulicy Szewskiej w Krakowie na długo przed stanem wojennym, piosenka pewnie nigdy by nie powstała.

Nigdy nie dała się internować. Nie zaliczyła żadnej wpadki. Nie dał jej rady żaden donosiciel. Trafiała nawet do radia – Radia Wolna Europa rzecz jasna. A paradoks tej historii polega na tym, że gdyby nie ludzie za kratami, to ci na wolności nigdy by tej piosenki nie usłyszeli, a już na pewno nie zaśpiewali. Przez kilkanaście lat funkcjonowała jako utwór bez ojca. Gwoli rzetelności trzeba koniecznie wyjaśnić, że – przynajmniej na początku – miała aż dwóch ojców. Jeden z nich przyznał się do autorstwa dopiero w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Ujawnił się sam. Świat się wtedy dowiedział: Jacek Baluch, współautor piosenki „Zielona WRONA”, wtedy, czyli w latach 1990–1995 ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Pradze, literaturoznawca, sławista, tłumacz literatury czeskiej.

– Jestem z rocznika 1940. Pamiętam i poznański Czerwiec '56, i marcowe wydarzenia dwanaście lat później, i grudniową tragedię na Wybrzeżu w 1970 roku. Legenda rodzinna mówiła, że jeden z moich wujów był osobistym sekretarzem Mikołajczyka. Wuj Jerzy, jak o nim mówiliśmy, w czasach peerelowskich w zasadzie ciągle siedział w więzieniu. Jego żona dostała wyrok śmierci za przynależność do władz WiN-u, on zaś osiem lat za „wiedział, nie powiedział”, czyli za to, że nie doniósł na żonę. Mojego ojca aresztowano wprost z ulicy i siedział w 1947 roku. Mój pradziadek ze strony matki był syberyjskim zesłańcem, dziadka ze strony ojca wymienia monografia Knuruwa w powiecie rybnickim jako śląskiego patriotę, kościelnego kantora i szkolnego tercjana. Z punktu widzenia władzy zwanej ludową wychowałem się w mocno kryminalnej rodzinie – zaczyna swoją historię Jacek Baluch. Na jego twarzy pojawia się uśmiech.

– O moim pokoleniu Jan Błoński – jeden z najwybitniejszych krytyków literackich drugiej połowy XX wieku – napisał kiedyś, że mamy kompleks młodszego brata. Coś w tym jest. W Powstaniu Warszawskim nie mogliśmy brać udziału. Nie mogłem mieć dziewczyny łączniczki albo sanitariuszki, a jakie to byłoby wspinała... – rozmarza się.

W 1956 on i jego rówieśnicy mieli po szesnaście lat, więc też nie bardzo mogli świadomie się zaangażować. Chociaż – jak mówi – oczywiście biegał ze szkoły na demonstracje. A później, jako student, brał udział w pierwszym strajku po zamknięciu tygodnika „Po prostu”, który był trybuną polskiego Października. Ale to było raczej kibicowanie. Szukali więc możliwości, okazji, żeby pozbyć się tego kompleksu, o którym mówił Błoński.

Po latach przypomina sobie, że pierwszy protest podpisał... w Czechosłowacji, gdzie w latach 1960–1961 studiował na Uniwersytecie Karola, a lata 1965 i 1966 spędził na studiach doktoranckich. I tym razem chodziło o czasopismo młodych, zamknięto bowiem „Tvar”. Odbył się więc na uniwersytecie wiec protestacyjny, w czasie którego zbierano podpisy pod protestem.

Marzec 1968

Był to idealny czas na pozbycie się kompleksu młodszego brata. Jacek Baluch, tuż przed doktoratem, który obronił w czerwcu 1968 roku, pracował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Dwoje studentów sławistyki zostało zatrzymanych w trakcie demonstracji, inna para studentów jugoslawistyki została pokazana w głównym wydaniu dziennika TV jako „wichrzyciele z Krakowa”. Zatrzymano ich w barze hotelu „Cracovia”, gdzie zwyczajnie popijali i rozmawiali po serbochorwacku z jakimiś Jugosłowianami. Ale trzeba było pokazać, że marzec to międzynarodowy spisek. Bycie sławistą zaczynało być podejrzane, ruszyły pierwsze przesłuchania. Jedna z koleżanek Balucha była nękana za kontakty na Słowacji, znany z „procesu taterników” Maciej Kozłowski, druh Balucha z legendarnej krakowskiej drużyny „Huragan”, napisał do niego list ze Spitzbergenu... a więc spisek sięgnął Arktyki! To wystarczyło, by dostać wezwanie na przesłuchanie – przecież trwała Praska Wiosna, a Maciek w liście, przechwyconym przez bezpiekę, prosił o adresy w Pradze. W Krakowie doświadczenie pierwszych strajków, a w zasadzie bojkotu zajęć, ponieważ – jak mówi – wtedy nie używali jeszcze słowa strajk. Odbywały się wiece protestacyjne i marsze, pojawiały się ulotki i... chiński powielacz.

– Chiński powielacz? – patrzymy na pana profesora mocno zdziwieni. Z niecierpliwością czekamy na rozwiązanie tej zagadki.

– Pracownikom naukowym kazano pozamykać maszyny do pisania. Człowiek poradzi sobie jednak ze wszystkim, a najszybciej z zakazami. W miasteczku studenckim ogłoszono konkurs, kto ręcznie przepisze więcej ulotek. Wieczorem dziewczyny przepisywały ulotki, a chłopcy bohatercko roznosili je po mieście. W ciągu jednej nocy wyprodukowano kilkadziesiąt tysięcy ulotek. Wystarczy, że do pisania zasiądzie tysiąc dziewczyn i każda napisze dwadzieścia ulotek, już mamy dwadzieścia tysięcy. I ten właśnie sposób nazywa się chińskim powielaczem – wyjaśnia. Pierwsza zagadka rozwiązana. Ale nie ostatnia.

Grudzień 1970

Na Wybrzeżu robotnicy upomnieli się o swoje prawa.

– Byliśmy wtedy z przyjaciółmi na konferencji teoretycznoliterackiej młodych pracowników nauki w Muszynie. Myśmy wtedy gdańszczanom niemal zazdrościli tego zrywu. Takie doświadczenie musiało być wspaniałe. Oczywiście wiadomo, że poląła się krew, byli zabici, ranni, ale ta atmosfera wolności, nawet chwilowej, była czymś fantastycznym – tłumaczy.

Sierpień 1980

Był to moment, w którym „młodszy brat” mógł już wziąć sprawy w swoje ręce. Jacek Baluch był jednym z młodszych działaczy uniwersyteckiej „Solidarności” i z tego tytułu został skierowany do kontaktów z powstającym właśnie Niezależnym Zrzeszeniem Studentów, wziął udział w jego zjeździe założycielskim.

– Pisaliśmy oświadczenia Uniwersytetu Jagiellońskiego – prorektor Władysław Serczyk w imieniu władz uczelni, ja jako przedstawiciel „Solidarności”, Janek Rokita za NZS, i ówczesny sekretarz partii, pan magister, który w tym składzie nie miał żadnych szans i tylko machał rękę, kiedy protestowaliśmy przeciw użyciu „brutalnej siły” i temu podobnych – wspomina.

Nikt nie był już w stanie zatrzymać rozpędzonej „Solidarności”. Wschodni brat od czasu do czasu wydawał pomruk niezadowolenia, uruchamiał propagandową maszynę. Trzeba było działać. W Krakowie powstała ulotka w języku rosyjskim. Adresowana do naszych wschodnich sąsiadów, wyjaśniała prawdziwe powody powstania ruchu solidarnościowego. Potajemnie trafiła na Wschód. Ulotkę napisał kolega Balucha, Andrzej Pisowicz, orientalista, który dzięki temu właśnie nigdy nie został zidentyfikowany przez SB jako jej autor.

– A może przetłumaczy Pan ją również na czeski? – zaproponował orientalista.

– Czesi są zupełnie inni niż Rosjanie. Dla nich trzeba inaczej – wyjaśnił sławista.

Dostał wprawdzie do przetłumaczenia na czeski ulotkę napisaną wcześniej po rosyjsku, ale uznał, że tekst rosyjski to nie to, o co chodziło. Był to bowiem tekst „szlachetny i wzniosły”, ale bardziej ideowy niż liczący się z rzeczywistością ZSRR. Pomyślał, że oprócz „propagandy”, wyjaśnienia celów i zasad „Solidarności” warto przy okazji powołać się na akty prawne, będące podstawą zakładania niezależnych związków zawodowych i wskazać, jak podejmować tego rodzaju działalność. Posłużył się historią „Solidarności”, prezentując przy tym kolejne kroki towarzyszące

zakładaniu związków. Jako filolog wiedział, że tego typu tekst w obcym języku musi być napisany perfekcyjnie, bez jednego błędu. Problem polegał na tym, że trwały wakacje.

– Naszej lektorki, Czeszki, wtedy nie było, nie miałem żadnego *native speaker*, a ulotkę trzeba było już drukować. W odruchu rozpaczy postanowiłem znaleźć jakiegoś turystę Czecha – wspomina z uśmiechem na twarzy.

Parking na placu Szczepańskim przyciągał sporo turystów. Gdy szedł ulicą Szewską, usłyszał rozmowę w języku czeskim. W pięcioosobowej grupie wypatrzył chłopaka – szczupłego, rudego, charakterystycznego. Twarz wydała się znajoma. Skojarzył, że to przecież kelner z jednego z krakowskich lokali. Podszedł i przedstawił się jako pracownik uniwersytetu.

– Mam taki czeski tekst, chciałbym, żebyście mi sprawdzili. Zapraszam na piwo – powiedział do pary młodych Czechów, którzy szli z rudym kelnerem. Czech zgodził się bez wahania. Baluch popatrzył na niego i zapytał: – A Pan nawet nie pyta, jaki to tekst?

– *Co bych se ptal?* (Po co miałbym pytać?) – odpowiedział, lekko dotykając znaczka „Solidarności”, który Baluch nosił w klapie marynarki.

Usiedli. Najwięcej przy tekście pomogła mu młoda Czeszka.

– Napisał pan to zupełnie jak *native speaker* – powiedziała, gdy skończyła czytać. W całym tekście poprawili jedno zdanie i wymienili dwa słowa.

Na pytanie, czy nie bał się zaproponować obcym ludziom, by sprawdzili tekst, Baluch odpowiada:

– Bez pewnej dozy fantazji i po prostu wiary w ludzi nic by się nie zrobiło. Gdyby człowiek bał się wszystkiego, nic by nie działo. Jacek Kuroń zawsze powtarzał, że na dziesięciu, którzy zgłoszą się do działania, jeden na pewno będzie agentem, ale z powodu tego jednego nie można odrzucić tych dziewięciu. To jest nasze ryzyko, to jest tak, jak ryzyko lekarza: raz na jakiś czas od kogoś się zarazi. To wielka nauka moralna.

Ośmiostronicowa ulotka, napisana przez Balucha po czesku (*Co je to Solidarita*), była de facto instrukcją zakładania niezależnych związków zawodowych. Mała broszura, drukowana i sygnowana przez NSZZ „Solidarność” Regionu Małopolska, przeznaczona – jak chytrze napisano w nagłówku – „dla Czechów i Słowaków odwiedzających Polskę”, była faktycznie przerzucana przez granicę, głównie na północne Morawy (Ostrawa), ale także na Słowację (słowacka wersja też była przygotowywana, ale zabrakło czasu, by ją wydrukować – wprowadzono stan wojenny).

13 grudnia 1981, Praga

Wszystko działo się w mieszkaniu praskiego kolegi Balucha, który wyjechał z żoną i dzieckiem w Karkonosze. Została tylko teściowa. Baluch całą niedzielę przygotowywał się do przewiezienia do Polski samizdatowego słownika czeskiej literatury, który dali mu znajomi. Potem jednak się przestraszyli, ponieważ jeden z autorów, Jan Lopatka, kolega Balucha ze studiów, miał już wyrok w zawieszeniu.

– Miałbym dziś rzecz niezwykłą, ale skoro miałem go przemycać, musiałem powycinać kartki i posklejać je w przypadkowej kolejności. Wiozłem to niby jako swoje notatki – opowiada.

– W radiu coś mówią o Polsce, że wojna jakaś – zakomunikowała teściowa kolegi około szóstej po południu, wchodząc do pokoju. Szybko włączyli telewizor. Jakaś godzinę później przyjechali właściciele mieszkania z informacją, że po drodze mijali czołgi.

– Ani przez chwilę nie zastanawiałem się, czy wracam, czy zostaję. Tam w Krakowie była żona, dzieci, teściowie. Dla mnie sprawa była jasna. Emigracja to nie dla mnie. Zresztą sądzę, że moja żona też by nie umiała tego znieść. To w ogóle nie wchodziło w rachubę – opowiada.

W walizce pomiędzy ubraniami poupychał jeszcze bibułę. Dostał ją od jednego z czeskich opozycjonistów. Po dwóch dniach wrócił do Polski. Tuż przed wyjazdem z Pragi spotkał jeszcze swoją czeską przyjaciółkę. Daniela miała wtedy dwadzieścia siedem lat. Była tłumaczką z języka polskiego.

– Niemal klęcząc przede mną prosiła, żebym nic do Polski nie wiozł. Przecież tam jest wojna – wspomina.

W pociągu do Polski jechało może kilkanaście osób. Wśród nich Czeszka, też sławistka-bułgarystka – ze swoją koleżanką. Granica. Kontroli praktycznie nie było. Komu chciałoby się w taki czas coś przemycać do Polski. Już w pociągu do Krakowa Jacek pokazał dziewczynom, co miał w walizce.

– Ach, Polacy, wy zawsze jesteście tacy nieodpowiedzialni – powiedziała jedna z nich.

– Kalkulowałem bardzo prosto – jeżeli jest stan wojenny, strajki, nikt się nie będzie interesował jakimś Baluchem, który wraca z Pragi – wyjaśnia. I tu się mylił.

30–31 grudnia 1981, Kraków

Przesłuchanie trwało dwa dni. Po sześć godzin. Pytali przede wszystkim o broszurę *Co je to Solidarita*.

– Nas nie interesuje, czy Pan się przyzna, czy nie, do jej autorstwa. To założyliśmy

na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Chcemy się tylko dowiedzieć, kto drukował, jakie były kanały przerzutów do Czechosłowacji. Towarzysze czescy mają o to do nas pretensje – usłyszał w trakcie przesłuchania.

– Załóżmy nawet, że to ja ją przełożyłem – do autorstwa konsekwentnie się nie przyznawałem, mówiłem, że ulotka jest podpisana przez małopolski komitet „Solidarności”, legalną organizację, która ponosi odpowiedzialność za wydany przez siebie druk. Tym bardziej bym się nie interesował, co się będzie z nią działo dalej. No, taki głupi nie jestem – odpowiedział. Zresztą o tym, jak tę ulotkę przerzucano do Czechosłowacji, nie wie do dziś. Dopiero w więzieniu dowiedział się, kto ją drukował, że wydrukowano jej pięć tysięcy egzemplarzy i że w Czechosłowacji była z jej powodu straszna afera.

W pewnym momencie do pokoju przesłuchań wszedł kapitan Knapik. Znany chyba wszystkim uniwersyteckim opozycjonistom tak zwany oficer obiektywny, który sam o sobie mówił, że jest „specjalistą od uniwersytetu”. I, jak mówi o nim Baluch, była to postać zdecydowanie anegdotyczna. Po uniwersytecie krążyły różne opowieści o Knapiku. W jednej z nich kapitan usiłuje przesłuchiwać młodego docenta i skarży mu się: – My tu rozmawiamy jak Polak z Polakiem i rozumiemy się, a pan to wszystko potem opowiada swoim kolegom w klubie „Convivium”. Mam o to do pana wielkie pretensje! Na to docent: – Ależ panie kapitanie, przecież pan też to, o czym mówimy, powtarza swoim przełożonym, i ja o to do pana nie mam żadnych pretensji. W klubie „Convivium” spotykali się w stanie wojennym działacze „Solidarności”, wyjaśnia Baluch.

W trakcie przesłuchania Balucha zrobiło się nerwowo, ale i zabawnie, ponieważ okazało się, że milicja nie ma „dowodu zbrodni”, czyli rzeczonyj ulotki. Przesłuchujący Balucha major kazał młodszemu porucznikowi wyciągnąć z szafy ulotkę. Okazało się, że ulotki nie ma – porucznik, grzebiąc w jakichś papierach, wyjaśnił, że jest w ekspertyzie.

– Skoro jej nie było, mogłem powiedzieć, że nic nie wiem. Niepotrzebnie wszedłem z nimi w dialog. Trzeba było nie rozmawiać, milczeć. Zgubiło mnie gadulstwo i trochę nerwy – ocenia Baluch po latach. Ale trudno myśleć racjonalnie, kiedy na przesłuchanie jest się doprowadzonym z aresztu.

Luty 1982, Zakład Karny Załęże

– Jak mnie aresztowali, pomyślałem sobie, że mój ojciec siedział w komunistycznym więzieniu w o wiele gorszych czasach, a był chory na serce. Ja jestem zdrowy, więc też wytrzymam. Moja żona płakała, gdy dowiedziała się o moim

aresztowaniu. Syn jej wtedy powiedział: „Nie martw się, Mamo, ucziwi ludzie siedzą w więzieniu” – wspomina.

W celi było ich trzech: Jacek Baluch, Krzysztof Bryniarski i Jacek Skrobotowicz. „Zielona WRONa” przyszła na świat 4 lutego, a jej pojawienie się, mimo więziennego otoczenia, należało do wydarzeń radosnych. Jacek Baluch opowiada historię powstania szlagieru stanu wojennego:

– Siedzieliśmy z Krzysztofem „pod celą”. Datę 4 lutego zapamiętałem, gdyż tego właśnie dnia wyszedł na wolność nasz trzeci kolega, Jacek Skrobotowicz. Humor mieliśmy bardzo dobry na myśl, że i nas też kiedyś wreszcie zwolnią! Krzysztof mówił, że on by coś o tej WRON-ie... Więc zaśpiewałem „Zielona wrona...” na znaną melodię okupacyjnej piosenki „Teraz jest wojna” i powiedziałem, że tak mógłby się zaczynać refren. I zacząłem śpiewać, żeby podać rytm: „Szczekają gdzieś psy...” Krzysztof, który miał dużą kulturę muzyczną – w „Szatkowskim” prowadził zakładowy radiowęzeł – i nie mniej wyrobiony słuch literacki, zaraz podchwycił melodię, dodając: „Ekstrema już śpi...”

– Poczekaj, zapiszę – powiedziałem, siadając do stołu i zapisując dwa pierwsze wersy. Trzeciego nie dosłyszałem, czy też nie zrozumiałem, powtarzając sobie pod nosem: „Szczekają gdzieś psy, ekstrema już śpi...” I co dalej? – pytałem Krzysztofa, który powtórzył: „I kończy się wolna sobota...”

Doskonale! Ucieszyłem się – będzie do tego rym „i do drzwi gwałtownie łomota... Zielona wrona”. Zapisałem, a w tym czasie Krzysztof dorobił brakujący środek: „Wyrusza rząd suk, rzną buty o bruk...”

Pierwsza zwrotka była gotowa:

ZIELONA WRONa

Szczekają gdzieś psy,
ekstrema już śpi
i kończy się wolna sobota...
Wyrusza rząd suk,
rzną buty o bruk
i do drzwi gwałtownie łomota.
Zielona wrona...

– Zielona wrona... – zaśpiewałem głośno, zanotowawszy tekst. Krzysztof, który chodził po celi, podczas gdy ja siedziałem i zapisywałem, przystanął,



zwracając głowę w moim kierunku, uśmiechnął się znacząco i, widocznie z siebie zadowolony – jak najślusniej – rzucił: „Dziób w wężyk szamerowany...”

– Genialne! – Powiedziałem Krzysztofowi, że do końca życia będę mu zazdrościł, że wymyślił ten wroni szamerunek. Szamerowana wrona! Z generalskim wężykiem na dziobie! A Krzysztof, uskrzydłony pomysłem, kontynuował: „Kto nie dał drapaka, kto nie chciał zakrakać, ten będzie internowany”. Zaproponowałem poprawkę – „kto nie dał, kto nie chce, ten będzie” – żeby był czas przeszły, teraźniejszy i przyszły.

Zielona wrona,
dziób w wężyk szamerowany,
kto nie dał drapaka,
kto nie chce zakrakać,
ten będzie internowany!

– Krzysztof zgodził się, że tak będzie lepiej, więc mieliśmy już pierwszą zwrotkę i refren. W tej fazie, zapisując, oddałem inicjatywę Krzysztofowi, do którego należał praktycznie cały refren, więc niesiony ambicją zacząłem drugą zwrotkę: „Grudniowy wstał świt, Nie wiedział nic nikt ...” Ale co dalej? Niech będzie „milczały... telefony”. Cholera. Brakuje dwóch sylab! „Jak grób” podpowiedział Krzysztof. „Co jak grób?” – nie zrozumiałem. Krzysztof powtórzył: „Jak milczały, to jak grób”. Aha, zorientowałem się, i kończąc, powtórzyłem całą zwrotkę:

Grudniowy wstał świt,
nie wiedział nic nikt,
milczały jak grób telefony,
aż w radio wódz sam
obwieścił, że stan
wojenny jest wprowadzony.
Zielona wrona...

– W tej rundzie ja uzyskałem przewagę, ale Krzysztof szybko ripostował:

Od tego poranka
w Krakowie łapanka
szalała w bezsilnej wściekłości...

– Było oczywiste, że rym będzie „Solidarności”, ale czekałem na Krzysztofa:

w Wiśniczu zaś z pierdła
zrobiono internat
dla członków „Solidarności”.
Zielona wrona...

– Piosenka była gotowa. O zieloną barwę wrony musiałem stoczyć bój, ponieważ niektórzy ostrzy antykomuniści, zwłaszcza kapeenowcy, domagali się wrony czerwonej. Uważaliśmy jednak, że zielona jest i „słuszniejsza”, boć przecież Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego była zielona, i, w porównaniu z czerwoną, bardziej abstrakcyjna, a więc dowcipniejsza. Zresztą przemawiały też za tym argumenty historyczno-literackie – był wszak i „Zielony balonik”, i „Zielona Gęś”, nie mówiąc już o zielonych różach nadrealizmu, czy owym śledziu pomalowanym na zielono, co śpiewa...

Swoją piosenkę postanowili przepisać w kilku egzemplarzach i po południu podrzucić w świetlicy. Wieczorem, kiedy więziennym obyczajem w zamkniętych celach zaczynały się różne śpiewy protestacyjne i kiedy szykowali się do odśpiewania „Zielonej WRONY”, nagle usłyszeli, że ich tekst śpiewają koledzy z innej celi. Ba – nie tylko ich tekst, ale jeszcze dwie dalsze zwrotki. Jedną z nich napisał Bogdan Klich, drugą jakiś internowany z Podhala. Cytując z pamięci, Baluch zauważa, że po trzydziestu latach pewne słowa uciekają:

Świetlica, rowerek,
a potem spacerek,
...
Niech siedzi ekstrema,
pożytku z niej nie ma,
my świat zbudujemy od nowa.
Zielona wrona...
...
nowego nam trza Robespierre'a,
...
...
to piosnka nowego premiera.
Zielona wrona...

– Coś tam jeszcze było o Albinie Siwaku – „Albina zaś duma rozpiera...”, czy jakoś tak...

Po dogłębnym sprawdzeniu okazało się, że dalszych zwrotek było wiele. Powstawały spontanicznie, a te już istniejące były zmieniane w zależności od miejsca, w którym je śpiewano. Najprawdopodobniej część z kolejnych brzmiała tak:

Świetlica, spacerek, wieczorem rowerek;
Albina zaś duma rozpiera.
Niech siedzi ekstrema,
pożytku z niej nie ma.
My Polskę zbudujem od zera.
Zielona wrona...

Z chaosu porządek wyłania się nowy,
Nowego nam trza Robespierre'a,
By odciął te łapy, co władzę brać chciały –
To hasło nowego premiera.
Zielona wrona...

Ta banda czerwona znów gówno dokona,
Choć duma jej piersi rozpiera.
Czerwona zaraza od nowa zagraża,
A niech ją jasna cholera!
Zielona wrona...

– Piosenka chwyciła i po kilku innych ze stałego więziennego repertuaru, ktoś, chyba Rysiek Majdzik, ostry kapeenowiec, internowany razem z ojcem, pamiętającym jeszcze stalinowskie więzienie, wrzasnął: „Chłopaki, dawajcie jeszcze raz »WRONĘ«!”

– „WRONa” łatwo się śpiewała nawet przy zamkniętych celach, była rytmiczna, wyrazista i wypadła zdecydowanie lepiej niż religijno-patriotyczne pieśń, czasem zawadzone żałością i nierówno – wspomina Jacek.

I dodaje, że ich „Zielona WRONa” powstała na podobnej zasadzie jak większość parafraz czy trawestacji: sięgnięcia do powszechnie znanego tekstu, który z takich czy innych powodów nadaje się do przeróbki. Chodziło w dodatku o tekst utrwalony w powszechnie znanej melodii, który wszedł do kultury

choćby poprzez film „Zakazane piosenki”. Poza tym melodia ma swoje warianty tekstowe w wielu językach europejskich. Pierwotna piosenka jest włoska, niesłychanie rytmiczna, dobrze się śpiewa. I jeszcze refren, który bardzo szybko wpada w ucho, i można się łatwo przyłączyć do śpiewania.

Kariera „Zielonej WRONy” nabrała niewiarygodnego rozpędu. Tekst drukowano w drugim obiegu, nagrywano na kasety.

– Śmiałem się, że my z Krzysztofem napisaliśmy trzy pierwsze zwrotki, a potem dopisywano dalsze, jak do „Bogurodzicy”... Tekst szybko przerabiano. Najpierw Wiśnicz zmienił się na Załęże, potem – po przeniesieniu internatu małopolskiego – na Łupków – opowiada współautor piosenki.

I dodaje:

– Piosenkę śpiewaliśmy u nas w domu na imieninach i urodzinach przy szeroko otwartych oknach, był to prawie nasz rodzinny hymn. Nadal jest.

W areszcie przy Mogiłskiej w Krakowie i w więzieniu w Załężu przesiedział łącznie dziewięćdziesiąt dziewięć dni. Jak sam żartuje, do stu dni Napoleona zabrakło jednego jedyne go dnia. Wyszedł w Wielką Środę 1982 roku.

– Kiedy przekazujemy dziś wiedzę o tamtym czasie, wydaje mi się bardzo ważne stałe podkreślanie, że dla bardzo wielu ludzi stan wojenny, internowanie i inne represje oznaczały utratę zdrowia, a w skrajnych przypadkach życia, zniszczenie rodziny, złamanie kariery zawodowej, utratę wiary w jakiejkolwiek życiowe perspektywy i mnóstwo, mnóstwo codziennych kłopotów – tłumaczy.

Według niego ludziom takim jak on było łatwiej, ponieważ stały za nimi środowiska uniwersyteckie, które umiały i chciały ich skutecznie bronić. Inna też była, jego zdaniem, pozycja działaczy „Solidarności”, mających poczucie walki o słuszną sprawę i także oparcie w swoich środowiskach, zwłaszcza wielkoprzemysłowych. Były też znaczne różnice – na przykład między tymi, którzy już wcześniej zetknęli się z represjami czy choćby przesłuchaniami SB, a tymi, którzy tego rodzaju doświadczeń nie mieli, jak choćby działacze „Solidarności” wiejskiej.

Po wyjściu z internowania stał się opozycjonistą, poniekąd oficjalnie. Jego specjalizacją były sprawy czeskie. Przecież już w czasach legalnej „Solidarności” wygłaszał pogadanki o czeskosłowackiej opozycji, Karcie '77 i literaturze drugiego obiegu, o emigracji. Nawiązał również kontakty z różnymi środowiskami emigracyjnymi. Najpierw korespondencyjne – książki swojego wydawnictwa Sixty-eight Publishers posyłał mu z Kanady Josef Škvorecký, z Włoch i RFN „opozycja socjalistyczna”, ze Szwecji dostawał materiały od profesora Františka

Janoucha oraz nagrania płytowe zespołu Šafrán. Później miał także kontakty osobiste.

– W 1984 roku poznałem w Londynie Alexandra Tomskiego, w 1988 – w Wiedniu Pavla Tigrida, nazwanego potem przeze mnie czeskim Giedroyciem. W 1989 – jeszcze przed aksamitną rewolucją – odwiedził w Pradze Václava Havla, żeby omówić z nim polskie wydanie dzieł, które miał publikować krakowski „Znak”. Pod pseudonimem Silesius próbował pisać w czeskiej prasie emigracyjnej, wymyślił polsko-czeską nagrodę literacką imienia Jiříego Lederera, którą przyznawały potem wspólnie nasze „Zeszyty Literackie” i czeskie „Svědectví”. Laureatami jej byli między innymi Andrzej Jagodziński, Piotr Godlewski i Petr Pospichal.

– No i z tego wszystkiego zaproponowano mi, po wyborze Havla na prezydenta, bym został ambasadorem RP w Pradze. Znalazłem się tam 11 kwietnia 1990 roku – i to też była Wielka Środa, tak jak wtedy, kiedy z kolegami opuściliśmy Załęże. Chociaż po czesku Wielka Środa nazywa się *škaredá středa* – po polsku kiedyś „środa Judaszowa” – to wtedy w Załężu, i później w Pradze, była tego dnia piękna, słoneczna pogoda – opowiada.

Może to chichot historii, ale jego nominację na ambasadora podpisywał prezydent Jaruzelski. A po skończonej kadencji, po pięciu i pół roku, odwoływał prezydent Wałęsa.

A z perspektywy czasu – czy warto było to wszystko robić? Jacek Baluch nie ma wątpliwości.

– Pomimo ryzyka, strachu i niepewności, co z tego wszystkiego wyjdzie, było to wspaniałe życiowe doświadczenie. „Solidarność” to było zaufanie jednego do drugiego, wielka nadzieja, odpowiedzialność za coś bardzo ważnego. Miałem ogromne szczęście uczestniczenia w tamtych wydarzeniach, wielkich wydarzeniach zwykłych ludzi – tłumaczy.

Do końca życia nie zapomni historii z maja, może czerwca 1982 roku. Szedł do domu. Mieszkał wtedy pod Wawelem. W pobliżu Filharmonii przechodził przez ulicę.

– Patrzą, a tu idzie dwóch mocno zawianych jegomości i śpiewa naszą „Zieloną WRONĘ”. Ziściło mi się marzenie Mickiewicza – tekst „zblądził pod strzechy”. Potem sobie pomyślałem, że już nigdy w życiu nie napiszę popularniejszego tekstu – śmieje się Jacek Baluch.